

ROZDZIAŁ I

Stara Hańcza

Od dziecka przed snem słuchałam opowiadań babci o majestatycznym wszechświecie gwiazd, księżycy i jeziora. A było to Pojezierze Augustowsko-Suwalskie. Babcia wspominała, że będąc w moim wieku wykradała się z domu nad jezioro, zazwyczaj wieczorem, zadzierała głowę do góry i oglądała morze gwiazd, a wśród nich prawdziwego królewicza – Księżyc. Raz pękaty, kiedy indziej wychudzony. Już wtedy wiedziała, że ludzie kiedyś polecą do gwiazd, mimo że nie znała jeszcze słowa „astronomia”, ani też frazy „podróże kosmiczne”.

Jako małe dziecko często zastanawiałam się nad tym, dlaczego – skoro babcia 60 lat wcześniej chciała polecieć w kosmos – nie miałabym polecieć tam i ja? Na temat pracy maturальной wybrałam: „Kim chcesz zostać?”. Przez całe dwie godziny rozpisywałam się, że chciałabym zostać Tierieszkową, bo ona jako pierwsza kobieta poleciała do gwiazd. Marzenia to jedno, a rzeczywistość – drugie. Wkrótce zorientowałam się, że nie przeszedłabym testu na kosmonautkę ze względu na zdrowie fizyczne. Uspokajałam się myślami, że ci kosmonauci nie mają chyba żadnej wyobraźni, bo kto o zdrowych zmysłach chciałby lecieć w nieograniczoną przestrzeń? Przecież, jeśli przestrzeń jest nieograniczona, to można nigdy nie wrócić.

Ostatecznie zdecydowałam, że chyba bezpieczniej będzie stąpać po Ziemi. Najwyżej ponad grunt wspięłam się na grzbiet koński. Ojciec miał zresztą podobne rozpoznanie przestrzeni. Na pocztówkach, które wysyłał do nas na „kolonie”, pisywał: „Naucz się pływać, ale nie wchodź do wody powyżej kolan”, zaś w nauce konnej jazdy nie widział żadnego niebezpieczeństwa.

Kiedy zadzierałam głowę powyżej końskiego grzbietu, wysoko, do góry, widziałam wieże kościołów, które wyglądały jak korona, rozciągnięta wzdłuż, a nie wszerz. Rano krzyże były blade i za mgłą. W południe błyszcząły to złotem, to srebrem. Wieczorem zaś odjeżdżały do gwiazd i Pana Boga. Te krzyże wbite w niebo, otoczone niekończącym się morzem gwiazd, sprawiły, że zafascynowałam się chrześcijaństwem. A co się stało dziś?

Jeżdżąc po całych Stanach Zjednoczonych, Polsce i również po Warszawie, zaobserwowałam, że wraz z dworami, dworkami, kościołami i kapliczkami, zaczęły znikać nie tylko krzyże, ale również przepiękne, romantyczne kapliczki, zarówno przydrożne, jak i te usytuowane w podwórkach warszawskich. Te ostatnie w czasie okupacji nazistowskich Niemiec, a później bolszewickiej Rosji, pełniły rolę zbawienną. Ludzie modlili się przy nich i błagali, żeby goliat nie walnął w ich domostwo albo „czerwoni” nie zatratowali ich swoimi czołgami.

To systematyczne usuwanie krzyży i kapliczek przydrożnych oraz z podwórek warszawskich: na Pradze, Mokotowie, Saskiej Kępie, że już nie wspomnę o Śródmieściu, sprawiało wrażenie, jakby i one nie mogły wytrzymać bestialstwa – najpierw „brunatnych”, a później „czerwonych” – i usunięte nocą, o poranku szły do Pana, do lepszego świata. Tyle że bez nich ludzie nad ranem czuli się osieroceni. Ten styl postępowania, degradujący pierwiastek ludzki i dorobek cywilizacyjny, uprawiany przez oba totalitaryzmy, oparte na marksistowskiej podszewie, powodował psychologiczne rany w duszy i umyśle Polaków.

Czyżby ten sam potwór zżerał krzyże, co i dwory? Dopiero nad jeziorem Czarna Hańcza znalazłam przyklejone do nieba morze gwiazd: Małą Niedźwiedzicę, Dużą Niedźwiedzicę, Mały Wóz, Wielki Wóz... Tylko gwiazdy uchowały się tam, dokąd nie dotarły potwory przemocy, komunizmu, kapitalizmu, lichwy...

Lichwa ukradła Czarnej Hańczy dwór, tylko gwiazdy się wy-
mknęły i wciąż jeszcze napawają nadzieją.

Geologowie dowodzą, że przed tysiącami lat tereny te
pokrywał potężny lodowiec. Na świecie królowały wówczas
zwierzęta i pogaństwo, ludzie biegali w skórach i pewnie ży-
wili się nie za mocno podgrzany mięsem, aż wreszcie po-
stawiono pierwsze krzyże, przyodziano nagie ciała, jeszcze
nie w skóry, lecz w len, i nareszcie zaczęto przy ognisku pod-
smażać zwierzynę. Później zaczęto siać i zajmować się zbie-
ractwem, a człowiek uzależniony od pór roku i pogody coraz
bardziej potrzebował Boga. Przyszło do nas chrześcijaństwo
i pomogło ustawić wszystkie najważniejsze wartości niczym
figury na szachownicy, w porządku, który dał człowiekowi
najbardziej uniwersalną szansę rozwoju.

Chrześcijaństwo stworzyło struktury społeczne i produk-
cyjne, które w społeczeństwie agrarnym ostatecznie zaowocowa-
ły „dworem”. Takim jak dwór Stara Hańcza. Został on
zbudowany około 1834 roku, a więc już po Powstaniu Listo-
padowym i przez ówczesnych nazywany był pałacem.. Ruiny
XVIII-wiecznego dworu są po dziś dzień jednym z najczęściej
odwiedzanych miejsc na Pojezierzu Augustowsko-Suwalskim.
Organicznie synchronizował z innymi tworam natury – lasami,
polami, zwierzyną, zagajnikami, sadami owocowymi, ogrodami
warzywnymi, pastwiskami, ulami, browarami i cegielniami.

*Pałac, dom masywny, murowany, frontem na północ usta-
wiony, do którego wchodziło się po drewnianych schodach,
z czterema kominami na dachu, również murowanymi, otocz-
onymi czerwoną dachówką. Okien w całym domu było aż czter-
naście, wszystkie na zawiasach i ryglach żelaznych, od zewnątrz
okna ubogaczały okiennice, które chroniły przed nieprzyjaznym
chłodem, upałem oraz niepożądanymi gośćmi. Drzwi w całym
domu były na zawiasach i krukach żelaznych z zamkami fran-*